Tom I. Nr. 6.
21. Sierpnia. 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podanie o wizerunku Zbawiciela

w izbie sądowej.

W pewnem mieście, w izbie sądowej do dziś dnia pokazują spory kamienny krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, nad którym wielkiemi literami stoi wypisano po łacinie; *będę sądził sprawiedliwość waszą.* Krzyż ten zwykle sobie jak każdy inny; ale dziwny na nim obraz Chrystusa Pana, który jak gdyby ze zgrozy precz po za siebie twarzą się obrócił, tak, że jej nic a nic nie widno. Jednakże nie myślcie, żeby to jaki majster — dziwak z umysłu tak zrobił!... Nie ludzka to robota, ale cud boski — o czem takie jest między ludźmi podanie.

Prawowała się razu jednego uboga wdowa z bogaczem, który jej nieusłusznym sposobem wydarł był cały majątek. Że wdowie stała się krzywda, o tem cały świat wiedział; ale bogacz złotem sypnął między sędziów i wygrał sprawę. Gdy ten wyrok głoszono publicznie w izbie sądowej, biedna wdowa z razu nie chciała wierzyć własnym uszom, aż kiedy jej ten i ów prawi,

że tak a nie inaczej, i że już na piękne przegrała z bogaczem, wtedy za oną niesprawiedliwość tak srogiej doznała boleści, aż się zapamiętała i na głos wyrzekła: „Żeby mię tu diabli sądzili, sprawiedliwszy byłby wyrok!“ Sroga to była dla panów sędziów obraza i według prawa mogli ją byli za to surowo ukarać, ale że właśnie nieczystego byli sumienia, udali więc jakoby nic nie słyszeli i popochodzili czem prędzej do domów. Zostali tylko na miejscu pisarze sądowi. Aż tu na jeden raz robi się niesłychany rumor na ulicy, zajeżdża mnóstwo karet przed trybunał i wysiadają jacyś panowie dziwnie ustrojeni, bo niby to w paradnych, w poważnych sukniach, jakie były po tamte czasy w używaniu, ale z rożkami na głowie i z długiemi ogonami, które im wystawały z pod długich sukień. A wszyscy walą sobie wprost po schodach i na górę do izby sądowej. Przyszedłszy tam, zajmują krzesła sędziowskie i jak gdyby nigdy nic, wygodnie rozpierają się na nich, podczas kiedy pisarze temu przytomni aż potruchleli ze strachu, miarkując, że tu z czartem sprawka, i że ci panowie sami szatanowie. W tem diabeł, co siedział na pierwszem miejscu jako najstarszy sędzia, kazał wprowadzić sprawę biednej wdowy. Na ten rozkaz wystąpiło dwóch diabłów nibyto adwokatów; jeden obstawał za wdową, drugi za bogaczem — a oni w krzesłach siedzący, słuchali z wielką powagą. Skoro oba skończyli, poczęła się reszta ze sobą naradzać, co krótką chwilę trwało. Potem znów on najstarszy przywołał jednego z prawdziwych pisarzów, kazał mu siadać za stołem i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna dygocąc na całem ciele i prawie na pół umarły z bojaźni, ledwo się przywlókł do stołu i zaczął pisać wyrok słowo po słowie jak mu diabeł powiadał. I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa była przy prawie.

Wtedy to pan Jezus, widząc że czarci sprawiedliwszymi się okazali aniżeli sędziowie tamtejsi, ze zgrozy twarz zasmuconą odwrócił, i już jej nie pokaże — jak miał o tem objawienie świętobliwy jeden człowiek — aż się nie stanie święta sprawiedliwość po wszystkim świecie.

A ten wyrok szatanowie podpisali po swojemu, i złożyli go na wielkim stole sądowym! poczem jednej chwili znikli.

Pisarze zaś, którzy na to własnemi patrzali oczyma, opamiętawszy się co nieco z przestrachu, drapnęli w nogi co sił, i po całem mieście roznieśli o tem wiadomość. Naturalnie że nikt im nie dawał wiary; myślano, że się pisarzyska popili lub co gorsza powarjowali. Aż tu nazajutrz w rzeczy samej widzą na stole on wyrok, podpisany przez diabłów, a pana Jezusa z odwróconą twarzą na krzyżu. Tedy chcąc nie chcąc, uwierzyli wszyscy w cud Boski i na wieczną pamiątkę złożyli to sprawiedliwe pismo szatańskie obok innych papierów sądowych.

Cztery spiewki.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

I.

O tęgim parobku.

Ni ja roli, ni ja chaty —
Mówią że ja nie bogaty!
A ja bogacz nad bogacze —
Dziecko w domu mi nie płacze,
A na dobrym, na ostatku
Nie chcą odemnie podatku.

Ni ja roli, ni ja chaty —
Mówią że ja nie bogaty!
A ja bogaty parobek!
Pójdę sobie na zarobek...
Mam do pracy ręce zdrowe,
Będzie kożuch, buty nowe,
Będzie, chociaż się nie chwalę,
Dla Marysi na korale.

II.

Na pijaka.

Ty pijasz wódkę, ja pijam wodę —
Ja mam wygodę, ty niewygodę;
U mnie sukmana, czapka barania,
A ciebie bieda z chaty wygania.

Ty pijasz wódkę, ja pijam wodę —
Ty masz gorącość, a ja ochłodę;
Rozum od wódki u ciebie krótki —
Oj, za tą wódką przychodzą smutki.

III.

Oj tem, która żona najlepsza.

Oj, rają mi ludzie trzy ze wsi dziewczęta:
Pierwsza ma urodę śliczną jakby święta —
Druga dziesięć morgów i dwa worki złota —
A trzecia uboga po ojcu sierota...

Oj, nie dla mnie ładna — za chłopcami lata —
Nie dla mnie leniwa i pyszna bogata;
Dla mnie sieroteńka dobra choć uboga,
Nie boi się pracy, a boi się Boga!

IV.

O leniu.

Słonko w górze wysoko —
Leń w pościeli głęboko;
Niosą obiad dla ludzi —
A leniuszek się budzi;
Słońce za las zachodzi —
Leniuch w pole wychodzi:
Przyjdzie bieda na lenia —
Zczesze go bez grzebienia!

Trafiła kosa na kamień.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

W karczmie w Zachliśnicach, w niedzielę po nieszporach ludu jak nabił.

W pierwszej izbie trzech muzykantów rzępoli od ucha, a młodź chasa, chichocze, swawoli, że omal same ściany nie puszczą się w koło.

Nie tak huczno i gwarno, ale równie ochoczo i wesoło idzie zabawa w przyległym alkierzu. Rzędem około stołu zasiedli tu starsi gospodarze, ojcowie hasającej młodzi, i przy lulce i kufelku piwa gwarzą, bają, rozprawiają to o tem, to owem, jak to mówią: wnet z takiej, wnet z siakiej zaczerpując beczki.

Jeden przypomina sobie ucieszne chwile swej młodości, drugi opowiada o różnych rzeczach zasłyszanych, ten wszystkich jakąś układną rozweseli przypowiastką, tamten zabajdurzył się o rzeczach gospodarskich, ale już to bądź jak bądź, nad wszystkimi przewodzi zwinnym językiem Grześko Kwik, co to dawniej służył w wojsku, a teraz zawsze z pańskiemi wołami chodzi do Ołomuńca.

Poznać pana po cholewach, mówi przysłowie, Grześka Kwika poznać po nosie! Aż bo też to i nos u niego, niech go Pan Bóg ma w swojej opiece! Żeby sześć innych nosów złatał do kupy, a siódmym nadsztukował, toby jeszcze nie sporządził coś takiej wielkości, takiego kalibru, jak jego nos rodzony.

Ale nie dość na tem, że sobie tak zamaszysty i gospodarski, toć jeszcze czerwony na końcu, że w kąt węgiel rozpalony.

Trzeba jednak wiedzieć, że to nosisko nie na swojskim urosło chlebie. Dopóki Grześko Kwik siedział we wsi, to miał sobie nos jak inni ludzie. Ale jak poszedł do wojska, a potem z wołami zaczął się wyprawiać za granicę, przyswoił sobie wiele cudzoziemskich obyczajów, a między innemi jął zażywać tabakę, której ani jego dziad, ani pradziad nie widział nigdy na oczy.

Ktemuż mówiąc między nami, zanadto lubował w trunkach, a wszystko to: i trunki i tabaka skrupiły się na biednym nosie, który po ostatniej podróży do Ołomuńca tak się już rozrósł potężnie, że matki straszyły nim oporne dzieci, a jeźli który z parobczaków przyrzekał swej dziewusze kupić wstążkę, to ją nie mierzył na łokcie, ale na nosy Grześka Kwika. Mówił naprzykład: Kupię ci wstążkę jak cztery nosy Grześka Kwika — a to już był podarunek nie lada.

Aliści niecnota ten Kwik! Dziwili się ludzie jego nosowi, a ten nos w kąt przed jego językiem.

Aż to posłuchać tylko jak bywało zacznie opowiadać. Godzinę miele jak na pytlu, a ani razu nie chlipnie powietrza i jeszcze zabuńczuczy się jak indor, niechli mu tylko kto przerwie na chwilę.

A że sobie przy tem bywalec, czyli jak to mówią bywał po dworach, i wie jak w piecu palą, toć nie było rzeczy na tym bożym świecie, o którejby nie podjął się rozprawiać od świtu do zmierzchu.

Biada zasie temu, ktoby mu nie zechciał uwierzyć na słowo. Zaperzył i zcietrzewił się zaraz, jakby chciał jeża połknąć a potem sapnął nosem jak kowal miechem i powtarzał raz po raz:

— Ja to wiem, ja tam był!

Przecież choć tak dobitnie zaręczał wszystko co mówił, znachodzili się ludzie, co niekoniecznie wierzyli jego słowom. Ba, stary przysiężny Czurma, co także bywał w świecie, powiedział mu nieraz w żywe oczy, że uczciwszy uszy, nibyto łże jak z rejestru.

Wszakoż z tem wszystkiem nie żal było posłuchać Grześka Kwika, bo choć skłamał, to skłamał sprytnie i kunsztownie, że się można było i uśmiać i ubawić.

Toż właśnie i teraz zaczął coś opowiadać, a wszyscy słuchają z rozdziawionemi gębami i sam poważny i stateczny wójt pokiwuje głową, a czasem mruknie coś jak hm, hm, albo hum, hum.

— Co wy wiecie! — wykrzykuje Grześko i z takim łoskotem pociągnął z rożka tabakę do nosa, że żyd arendarz co właśnie szedł częstować swych gości, aż pełny kufel upuścił z przestrachu, i zawołał coprędzej: na zdrowie wam Grześku — bo myślał nieborak że Kwik kichnął.

Ale on ani podziękował nawet, jeno prawi dalej:

— Powiadam wam, w Wiedniu to jest taki wielki kościół, że jakeśmy raz z całym batalionem maszerowali na kirchparadę, tośmy musieli r o s z t o k trzymać, nimeśmy doszli od progu do ołtarza.

— A cóż to jest r o s z t o k ? zapytał wójt, który jak każdy człek uczciwy i rozumny szanował wielce czystą i nieska-

żoną mowę swych ojców, i nie lubił, aby do niej mieszać obce słowa jak plewę do pszenicy.

Grześko Kwik łysnął oczyma, i całą dłonią pogłaskał się po nosie.

— Rosztok to znaczy to, żeśmy dwa dni maszerowali ciągle, trzeci musieliśmy wypoczywać, a dopiero czwartego dnia doszliśmy do wielkiego ołtarza.

Gospodarze na to pokiwali głowami i uśmiechnęli się zwyczajnie jak ludzie, co widzą kłamstwo jak na dłoni.

A Kwik bojąc się, aby mu kto nie wpadł w mowę, zaczął co tchu ciąć dalej:

— Abo wy wiecie zresztą jakie tam w Wiedniu mają krowy! wam się zdaje, że takie jak u nas. Ba i bardzo! Tam u każdej krowy nie płynie jak u nas proste mleko ze wszystkich dójek.

— A cóż płynie? — zapytał Maćko Drzazga, człek wielce ciekawy.

— Co? zawołał Kwik, i dla większej dobitności rękę wzniósł do góry — oto słuchajcie! z pierwszej dójki idzie już gotowa słodka, a z drugiej gotowa kwaśna śmietana.

— Hm, hm, mruknął wójt.

— Owa — poszepnęli gospodarze.

— A cóż idzie z trzeciej — zapytał Drzazga.

— Z trzeciej maślanka a z czwartej serwatka, zakończył Kwik i pociągnął spory niuch tabaki.

Znowu wszyscy niewierni pokiwali głowami, a Kwik prędko na nowo zabrał głos.

— Ale co tam już gadać o Wiedniu — rzekł machnąwszy ręką, powiem wam co mi się stało, kiedym ostatnią razą szedł z wołami do Ołomuńca.

Wszyscy uważnie nadstawili uszu, a Kwik prawił dalej:

— Owóż tedy w drodze zaszedłem wam na nocleg do jednego gospodarza. Aż to był człek setny! Chryste panie! Ja jak mię tu widzicie ręką nie mogłem mu dostać do ramienia. Powiadam wam taki był wysoki, że jak chciał rękę zapchać do kieszeni, to musiał przyklęknąć na oba kolana, bo inaczej nie byłby dostał.

— Owa! — wtrącił się ciekawy Drzazga, bo jak znów łyżką chciał sięgnąć do gęby, to musiał chyba podskakiwać.

— Gdzie tam, drabinę sobie przystawiał — odezwał się na to niski i chudy człowiek, który dotychczas milczący siedział przy końcu stołu, ani należał do Zachliśnickiej gromady. Był on z sąsiedniej wsi, z Kociorubiec, a tylko idąc gościńcem wstąpił na chwilę do karczmy i teraz z żartobliwym uśmiechem przysłuchiwał się całej gawędzie.

Grześko Kwik pomieszał i zakłopotał się cokolwiek z początku, ale prędko się opamiętał napowrót i odgryzł się jakby urażony.

— Otóż macie! jeden i drugi powiedział co wiedział! Spojrzyjcie tylko po sobie, a przekonacie się, że kieszeń dalej od ręki niż gęba.

— Diabła tam dalej — wtrącił się stary Czurma — każdemu prędziej coś wyleci z kieszeni niż wleci do gęby.

Kiwk niekontent machnął ręką, i z łoskotem zażył tabaki.

— Nie przerywajcież proszę, niech skończę — zawołał i ręką uderzył po stole.

— No i cóż tedy ten wysoki człek? — zapytał pobłażliwie wójt.

Kwik coprędziej podchwycił za słowo.

— Wyobraźcie sobie, ten niecnota lada czego tak się okrótnie pocił, że wam aż z jego cienia na ścianie lał się pot jakby woda z dzbana.

Na to nuż śmiać się wszyscy, Kwik namarszczył czoło, ale jak się tylko uciszyło jął opowiadać dalej.

— Ten gidyasz chciał mię poczęstować w swoim domu, ale że był niecnota okrutnie skąpy, więc wam postawił taką słabą wódkę, że niech mię diabli porwą! nie mogła o własnej sile lać się z flaszki.

Aż tu wszyscy w śmiech, że aż szyby zatrzęsły się w oknach, a ów niziutki gospodarz z Kociorubiec imieniem Jędryk Łachetka wtrząsł niecierpliwie głową, i jakby już nie mógł powstrzymać się dłużej, zawołał żywo:

— At, furda wszystko co mówicie!

— Jak to furda! dla czego furda? — wrzasnął Kwik i nos mu jeszcze więcej poczerwieniał, a gębę rozdziawił żeby nie jedna wrona, ale całe stado wleciało mu do środka.

— Wszystkie osobliwe cuda, coście widzieli, odpowiedział Łachetka, to gdzieś hen hen za górami i lasami, między cudzymi ludźmi; ja bym wam większy dziw pokazał bliżej.

— Owa bliżej! Rychtyg! — krzyknął Kwik, i ze wzgardą pokręcił głową.

Łachetka uśmiechnął się, i jakoś dziwnie łypnął oczyma.

— Ot ja sam, — rzekł prędko, nie o takim umiałbym wam powiedzić dziwie.

— Ho ho, podchwycił skwapliwie ciekawy Drzazga.

Kwik zaśmiał się z lekceważeniem, przekonany z góry, że obok niego nikt już nic osobliwego nie mógł wiedzieć na świecie.

Łachetka palcem przydusił tytoń w fajce, puścił spokojnie kłąb dymu przed siebie, i odezwał się z prostotą, jakby mówił coś cale zwyczajnego.

— W zeszły czwartek kupiłem sobie konia na targu.

— Konia, uf? powtórzył Kwik przydrwiwając sobie.

Łachetka nie zważał na to, ale dalej prawił swoje.

— Koń ten stoi w mojej stajni i dziś go można zobaczyć.

— Owa — przerwał znowu Kwik — I cóż w tym koniu jest osobliwego? Ma może cztery głowy a jedną nogę, ha?

— Ba i bardzo — odpowiedział Łachetka — mój koń ma tam głowę, gdzie inne konie ogon, a ogon tam, gdzie inne konie głowę.

Kwik zaśmiał się na całe gardło, bo jak sam kłamał na urząd, toż innemu znowu nie pozwolił na włosek zboczyć od prawdy. Pierwszy każdego chwytał na kłamstwie, wołając zaraz: Ho ho! gdzie to może być! to bajka czysta!

Toż i teraz śmiał się z drwinami, i powtarzał raz po raz:

— Ależ to skłamał jak z bicza trzasł!

Łachetka wzruszył tylko ramionami.

— Smiejcie się jak chcecie, ale koń mój stoi w stajni i choćby dzisiaj może się każdy przekonać, że ma ogon tam, gdzie inne konie głowę, a głowę tam, gdzie inne konie ogon.

Gospodarze w milczeniu potrzęśli głowami i spojrzeli po sobie, nie wiedząc co myśleć o tem wszystkiem.

Ale Kwik śmiał się i śmiał jak opętany.

— Ma go w stajni powiada! — kpił sobie dalej.

— Tak mi Boże daj zdrowie! — zaręczał Łachetka.

— I powiadacie, że można u was widzieć tego cudownego łoszaka? — zapytał Drzazga.

— Ojoj, choćby i dzisiaj! przyznawał Łachetka.

— Dobrze, dzisiaj. Do Kociorubiec tylko ćwierć mili! — podchwytywał prędko Kwik.

— Ha jeźli chcecie, to wam i zaraz pokażę mojego osobliwego konia, ale niechaj się Kwik naprzód założy ze mną że nie prawda.

— Dobrze, choćby o mój nos! — przystawał Kwik.

— Co mi tam po waszym nosie w lecie — odpowiedział Łachetka — w zimie toby się człowiek przynajmniej zagrzał przy nim.

Wszyscy w śmiech, a Kwik krzyknął z partesem:

— Założę się o co chcecie!

— O dziesięć reńskich na wosk do kościoła, radził wójt.

— Stoi! — krzyknął Łachetka.

— Stoi! — zawołał Kwik, i z za pasa dobył banknot na dziesięć reńskich, bo właśnie w tym czasie sprzedał był rocznego prosiaka.

I Łachetka dobył takoż dziesiątkę, i obadwaj złożyli zakład w ręce wójta, a potem wszyscy jak byli, wybrali się zaraz do Kociorubiec, bo każdy był ciekawy widzieć konia, co miał ogon w miejscu głowy.

Łachetka wyprzedził gospodarzy, aby się w domu przysposobić na ich przyjęcie, a kiedy przyszli nareszcie do jego zagrody, zastali go zupełnie przygotowanego.

Przyjął najsamprzód swych gości w chacie, jak staropolska nakazywała gościnność. Bo już to przedewszystkiem Łachetka był dobrym Polakiem i wiedział, że ziemia polska jest równie dobrą i szczerą matką chłopków jak i panów.

Nikomu jednak nie było ani w myśli jeść i pić w tej chwili, wszyscy się rwali do stajni, a szczególnie Kwik tam już

sobie rady nie mógł dać. Sapał i trąbił nosem, że aż lęk zbierał dzieci, i koniecznie chciał zaraz iść do stajni.

— Ha, niech i tak będzie — ozwał się Łachetka i poprowadził za sobą swych gości.

I wszyscy cicho na palcach posuwali do stajni, każdy oddech zapierał w sobie, mając widzieć tak cudowne zwierzę.

Nareszcie stanęli wszyscy przy drzwiach stajni. Kwik wystawił naprzód swój nos zawiesisty, jakby pierwszy chciał przewąchać osobliwego konia.

Ale wtem Łachetka otwiera drzwi z nienacka, a wszyscy w śmiech, że się aż za boki biorą.

W stajni w prost drzwi stał sobie koń zwyczajny jak każdy inny, tylko że ogonem był przywiązany do żłobu; w taki sposób miał po prawdzie tam ogon, gdzie inne konie głowy, a głowę tam gdzie inne konie ogon.

Kwik rozdziawił gębę, wybałuszył oczy i okrutnie zatrąbił nosem.

— Owa — zawołał ; ja myślał że to prawda, a to, ot sobie figiel jakiś! tfy do licha! Oddajcie mi moje dziesięć reńskich!

— Hola mospanku, rzekł Łachetka, dziesiątka wasza idzie na kościół! Oto widzicie mego konia, nie maż tam ogona gdziem mówił?

— Ja się na figle i krętasy nie zakładał — wykrzyknął Kwik, a nos mu jeszcze więcej poczerwieniał z gniewu.

Łachetka znowu na to spokojnie:

— Wierzyłci ja w wasze krowy wiedeńskie, co są tak osobliwe do podoju, trza wam było wierzyć w mego konia.

Kwik zaczął się rzucać, fukać i sarkać. Aż w tem wójt przytłumiwszy śmiech rzecze z powagą:

— Nie dąsajcie się Grześku, boście przegrali Bogiem a prawdą i wasza dziesiątka pójdzie na kościół, panu Bogu na ofiarę, żeby wam przebaczył, że tak często rozmijacie się z prawdą. Widzicie jakieście wpadli sami w łapkę, tylko przez to, żeście nam duby smalone chcieli prawić o cudzych krajach, ludziach i obyczajach. Trafiliście dziś na swego, a on z was zakpił setnie i fortelnie ukarał was za wasze kłamstwo. Poprawcie się na przyszłość, a jeźli znowu kiedy cudze zechcecie

chwalić kraje, to sobie przypomnijcie naprzód przysłowie waszych ojców: Wszędzie dobrze! ale w domu najlepiej!

Wszyscy gospodarze pochwalili głośno sąd i słowo wójta, a Grześko Kwik spuścił uszy po sobie i widząc że przegrał sprawę, wyniósł się milczkiem jak zmyty. Niektórzy ludzie utrzymywali, że od tego czasu nos jeszcze na cal stał mu się dłuższy niż przedtem, ale to pewna że na przyszłość nie kłamał już tak nielitościwie!

Tytoń.

Jaka była o tem rozmowa między nauczycielem a kmieciem Bartłomiejem.

Nauczyciel. Witajcie Bartłomieju!

Kmieć. Bóg zapłać.

Nauczyciel. Widzę, ani rusz wam bez fajki?...

Kmieć. Ha, co robić! taka już niepoczciwa natura ludzka, żeć każdy do czegoś pociąga: ten do szklanki, tamten do hulanki, inny do karteczek... ja zaś do fajki.

Nauczyciel. I to złe i tamto niedobre. Bo choć i ta fajczysko, proszę ja was! potrzebnyż to taki dla gospodarza wydatek?.., nieraz rozstąp się ziemia... nie znajdziesz odrobiny soli w chałupie... taka bieda bez grosza; ale na tytoń musi być, choćby przyszło tego grajcara z pod serca wydobyć.

Kmieć. Ta prawda! ale jakże temu poradzić, panie nauczycielu, kiedy bez fajki, kto się raz do niej nałożył, to już mu potem tak prawie jak bez ręki.

Nauczyciel. Wierzę temu! nawyknienie staje się nam drugą naturą — powiedziano nie darmo. Ale cóż za tem — czy przez to złe jakie będzie już dobrem, że do niego ludzie nawykli?... powiedzcież sami.

Kmieć. No, juźci że nie! ale cóż bo znowu w tej biednej fajczynie widzicie tak złego? nie rozumiem.

Nauczyciel. Chcecie więc, to wam opowiem ile mi wiadomo o tym tytoniu, którego zażywacie z taką chciwością bez miary i bez uwagi.

Kmieć. I owszem, bardzo proszę.

Nauczyciel. Otóż na początek muszę wam powiedzieć że przed 300 laty, to jeszcze nikt u nas w Polsce nie wiedział jak tytoń wygląda.

Kmieć. Hej! to mi dopiero nowina! chybaż oni nie znali Węgrów co tyle tam za górami mają swego tytoniu?...

Nauczyciel. Gdzie-ta nie znali! ale wtedy i na Węgrach nikomu się o tem nie śniło, aniteż Niemcy, Francuzi, Anglicy, Hiszpanie, Włochy, Turki i Moskale, nikt zgoła z tych wszystkich narodów nie znał tytoniu, więc go i nie używano.

Dopiero pierwsi Hiszpanie, naród mieszkający od Włochów na zachód a od Francuzów na południe, sprowadzili przed 360 laty tę roślinę z dalekiego kraju od Ameryki, co leży hen aż za morzem, tam gdzie słońce zapada. Od Hiszpanów niebawem dostała się ona do Francuzów, ztamtąd do Anglii, Niemiec, nareszcie do Turków, którzy dopiero nam w Polsce podali ten zwyczaj palenia fajek. Ztąd dawnemi czasy nie znano u nas innego tytoniu nad turecki.

Wiadomo, że gdy się co ludziom podoba, to radziby mieć jak najbliżej przy sobie a nie szukać go gdzieś za światami. Więc i na tytoń że im przypadł bardzo do smaku, poszukali tego sposobu i wnet po wszystkich krajach uprawiać go poczęli na polach jak inne rośliny. U nas do dziś dnia jeszcze Bukowina i Podole zajmuje się uprawą tytoniu. Mozolna to praca i zachodu wedle tego co nie miara!... rola pod tytoń ma być dobrze uprawna, tłusta, równa a nie mokra; najlepiej udaje się na nowinie. Im który kraj cieplejszy, tem liście delikatniejsze, i tytoń lepszy; dla tego u nas nie taki jak na Węgrach, Węgierski znów ani się umył do Tureckiego a i Turecki nie wyrówna Amerykańskiemu, gdzie właśnie jego ojczyzna. Jak się go używa, wiadomo: że albo z fajki się kurzy, albo żuje w gębie jako prymka, lub pali jako cygaro, albo też w proszku zażywa się jako tabaka do nosa.

Taka jego w krótkości historja. Teraz chciałbym was jeszcze zapoznać z naturą tytoniu, abyście nie byli tak właśnie jak to dziecko, które widząc jagody piękne, pachnące i słodkie, łakomie je zrywa, bo nie zna o tem, że to trucizna na jego zdrowie. Zrazu zdaje się on niby człeka ostrzegać: „nie ruszaj mię, bo ja niedobry!“ — Po pierwszem paleniu dostajesz mdło-

ści, zawrotu głowy, a nawet i często i womit. Mimo tego niewielu się tem odstrasza; więc skoro odchorują, nawracają się znowu do niego, i póty krzywią gębą i spluwają z niesmaku, póki nie przełamią swojej natury, i nie zaprzyjaźnią się już na piękne z fajczyną. Wtedy tytoń już nie jest dla nich taki nieprzyjemny, jakim się zrazu wydawał, owszem gdy w miarę użyty, pobudza do wesołości i czyni skorszym do pracy. I to jest jego druga natura, dla której właśnie tak mocno pokochali go ludzie. Aleć jak trudno zachować w tem miarę, co nam do serca przypadło — któż nie wie!... Pijakowi raz wraz gardło wysycha, że go musi skrapiać ulubioną wódczyną; tak samo fajczarzowi zapamiętałemu bez fajki jakoś tęskno i nudno, więc co jedną skończy, drugą nakłada, i tak idzie przez cały dzień, że mu się wali dym z ust niby z jakiego komina.

Bartłomiej. Widzę, do mnie pijecie, panie nauczycielu!...

Nauczyciel. I do was i do innych. Ta bo mi żal was, moi ludzie, że samochcąc zatruwacie sobie życie i za swoje własne a ciężko zapracowane pieniądze nieraz przedwczesną śmierć sobie kupujecie.

Bartłomiej. Ej, bajki to, panie nauczycielu! nie słyszał ja jeszcze żeby kto miał z tytoniu umierać.

Nauczyciel. Wierzę wam, żeście nie słyszeli, bo jużcić śmierć nie będzie się przed wami spowiadać, na co kogo zabiła. Ale żeć sobie to z palca nie wyssałem co gadam, za to wam ręczę. Tytoń jako roślina należy do trucizn i to nie lada jakich. Hotentoci, naród dziki, mieszkający hen na południe w gorących krajach Afryki, robią z tej rośliny taki olejek, którego jedna kropelka już wystarczy, aby najtęższego węża odrazu zabić. Wprawdzie w takim stanie, w jakim my go używamy, nie jest on zabijający odrazu, ale powoli podkopuje nasze zdrowie, podobnie jak ten czerw który gdy się znęci do drzewa, nieznacznie i niewidomie toczy go i marnuje, aż z czasem w niwec obróci. Jeszcze jak powiadam w stateczniejszym wieku, przy silnem zdrowiu i z miarą użyty, nie wiele on tam uszkodzi; ale gdy się kto porwie do niego ze słabem zdrowiem, albo zbyt wcześnie — o co zwłaszcza po miastach nie trudno, gdzie lada kiepski chłopczyna już sobie ćmi cygaro pod nosem,

— lub też kto bez pomiarkowania oddaje się temu nałogowi... dla tych już tytoń staje się prawdziwą trucizną. Wszak powiedzcie sami Bartłomieju! czy okurzywszy się kiedy fajki nad miarę, nie czuliście w sobie tak jakby gorączkę? przytem język był obłożony, głowa ciężka, w gardle sucho że ino co się z niego nie pokurzy jak w czasie posuchy na gościncu, a w ustach taki jakiś niesmak, żeć tylko ztąd wasza ma kłopotu co nie miara, tak wam niczem w jedzeniu dogodzić nie może.

Bartłomiej. Prawda, prawda żeć tak było nie raz, ale nie myślę, iżby to miało być z tytoniu...

Nauczyciel. A z czegożby innego?

Bartłomiej. Ba, alboż ja to godzien wiedzieć?... chory ta chory... dość z tego biedy! jeszcze sobie głowę łamać nad tem: a zkąd?

Nauczyciel. To też właśnie najgorzej, mój gospodarzu, że taki wasz cały rozum: jest ta jest, nie ma ta nie ma, przyszło niech będzie, poszło bierz go licho! i na tem się wszystko u was kończy. A nie tak być powinno, aby się wam dobrze działo!... ale o tem po tem. Tymczasem wróćmy do naszego. Otóż nie może wam się to w głowie pomieścić, aby tytoń był taki szkodliwy na zdrowie — wiecież dla czego? dla tego właśnie, żeście tak mocno pokochali te liście, ztąd straszno wam uwierzyć w ich niedobrą naturę i zatykacie uszy wasze przed prawdą. Ależ nie myślcie! żebym was, starszych gospodarzy, chciał już koniecznie odwodzić od tego! Kurzcie sobie wasze lulki, kiedyć wam z tem błogo, jeno na miłość Boską, nie używajcie naprzód sami tego dobrego zbyt wiele, a potem synom waszym nie pozwalajcie za młodu imać się do fajeczki, jeśli wam ich zdrowie na sercu leży.

Bartłomiej. Hm, hm... miły nauczycielu! wyczytaliście prawdę ze mnie, chociażem jej nie powiadał. Bo i rzeczywiście przykro mi było słuchać tyle złego o tytoniu, który mi się tak bardzo spodobał. Aleć że to prawda być musi, ztąd widzę, iżeście mi tak o tem gorąco prawili, a potem myślę, że cóżby wam z tego przyszło uczyć mię nieprawdy? — Ja stary już ta podobno przy fajczynie i umrę, chociaż posłucham waszej rady i nie będę jej więcej tak mocno zażywać; ale co do chłopców

moich, to jeszcze dzisiaj przepowiem im waszą naukę o tytoniu na przestrogę, niechaj znają, co to za ziółko zdradliwe. A teraz Bóg wam zapłać, miły nauczycielu!

RÓŻNOŚCI.

Wróble w dalekiej podróży. Może słyszeliście już kiedy o kraju, w którym dużo złota kopią a nazywa się Australją. Daleko o kilka tysięcy mil od nas leży ten kraj, ze wszystkich stron głębokiem morzem oblany, a ktoby się tam chciał dostać, toby musiał samą wodą płynąć i płynąć aż by mu się na śmierć sknęło bez ziemi. Otóż właśnie w tym czasie puściło się w tak daleką podróż z Anglii do Australii 300 wróbli. Wprawdzie nie z własnej oni ochoty płyną do tego złotego kraju, bo i co tam wróbla złoto obchodzi, milszy jemu kłos naszej pszeniczki niż cały cetnar tego złotego kruszczu; ale zmuszono przez moc nieboraków, zapakowano na okręt i dalej z niemi na przesiedlenie za dalekie morza aż tam na południe. Trzeba nam teraz powiedzieć dla czego?... W Australii od niejakiego czasu bardzo dużo pokazało się gąsienic i innych robaków, niszczących zboże na polu i jarzyny po ogrodach. Nie wiedziano jak sobie z tem psiarstwem poradzić; aż znalazł się ktoś, co im narail wróbli, jako srogich nieprzyjaciół wszelkiego robactwa. A że w tym całym kraju od końca do końca na śmiech ludzki jednego nie znalazłbyś wróbla, więc musiano zatem pisać do Anglii, aby im takich zuchów choć z kilkaset na pomoc przysłano. Szczęśliwej podróży! za jakich lat kilka, spodziewać się należy, będą ich mieli Australczyki do syta, i jako my po dziś dzień zastawiamy sidła, stroimy strachy, i Bóg wie jakich jeszcze nie używamy sposobów, aby tych paniczów od naszych stert i stodoł w przyzwoitem utrzymać oddaleniu, podobnież może i oni będą musieli wkrótce poszukać stracha na tych swoich skrzydlatych gości. A przecie jak się pokazuje, potrzebne to ptasze! za jeden kłos popsuty zachowa ci sto innych w bezpieczeństwie od brzydkiego robactwa, które gdyby nie miało w ptactwie takich nieprzyjaciół, stałoby się dla nas największem nieszczęściem — od czego zachowaj nas panie Boże!

Dawne przysłowia i przypowieści.

— Grzegorz: — Czegoż? — Pójdź robić! — O nie mogę chodzić!
— Pójdźże jeść! – Toć muszę poleść.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**